

Wprowadzenie

Zaczęło się od Alfę, gdy 27 stycznia spojrział na mnie po raz pierwszy z gazetowej fotografii. Ten widok i zapis rozmowy o obchodach wyzwolenia KL Auschwitz sprawiły, że nie mogłam przestać patrzeć. Kolejne dni upływały na poszukiwaniach – jakże irracjonalnych – nie wiedziałam, po co właściwie szukam i czy faktycznie chcę go spotkać. Z opisu jego codziennych aktywności wnioskowałam, że miewamy podobne trasy. Sondowałam książki telefoniczne, pytałam i odruchowo zaglądałam w twarze napotykanych na ulicy osób. Kiedy jednak zdobyłam jego numer, zwlekałam z nawiązaniem kontaktu. Przeważał strach, kogo zastanę po drugiej stronie. Gdy wreszcie zdobyłam się na odwagę, odebrał i drżącym, kruchym głosem spytał, czy lubię spacerować, a następnie, czy aby się go nie boję? „Możemy rozmawiać, możemy nawet się spotkać, zwykle nie bywam agresywny” – zażartował. Obojgu nam zabrakło jednak wówczas zdrowia, siły i czasu na spotkanie.

13 kwietnia, gdy wiał halny, co w Krakowie ma znaczenie, wbrew oporom ciśnień przedostałam się do pobliskiej apteki. Nie spojrziałam w twarz wychodzącej osobie. Po chwili usłyszałam fragment rozmowy dwóch farmaceutek. Dotyczyła zniżek ustawowych. W pewnym momencie padło nazwisko: – Czy pamiętasz, jak nazywa się tamten pan? – pytała jedna z aptekarek. – Lipniak. Stefan Lipniak – odpowiedziała druga. Kiedy po chwili dotarło do mnie, co mówi mi to nazwisko, wybiegłam z apteki. Zatrzymałam go, zmierzyliśmy się wzrokiem. W ten sposób poznałam Stefana Lipniaka, Alfę, jednego z nielicznych dziś działaczy krakowskiego Klubu Auschwitz. Wkrótce został moim rozmówcą i przewodnikiem po wspólnocie ostatnich świadków.

Po tym „niewymuszonym zejściu”, jak to określił Lipniak, dość regularnie umawialiśmy się na kolejne spotkania. Nie było między nami niedopowiedzeń – wystarczyło, bym raz otwarcie spytała o obozowe doświadczenia, a on rozpoczął swą wieloodcinkową

Wprowadzenie

i wielowątkową opowieść. Opowiadał w dowolnych okolicznościach – gdy spacerowaliśmy, podróżowaliśmy, jedliśmy, piliśmy, w parku, na cmentarzu, w tramwaju, na ulicy, w restauracji. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że mogłabym te rozmowy nagrywać. Zdumiewałam się siłą materialnej obecności świadka, który dzieląc ze mną ławkę na Plantach, jednocześnie przedzierał się wspomnieniami przez ogródki przedwojennej Trzebini, obóz Klein Mangersdorf, Rattwitz, Auschwitz, Monowice i przez bieszczadzkie lasy. Choć stopniowo oswajałam się z dynamiką, a niekiedy też drastycznością relacji, nigdy nie wyzbyłam się elementarnego zdziwienia sprawczością świadka.

Ciekawość, obawa i niechęć przed uwewnętrznieniem cudzych postaw towarzyszyły mi nieodmiennie, odkąd Stefan Lipniak wprowadził mnie do środowiska Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Do krakowskiego oddziału zapisanych jest obecnie około pięćdziesięciu osób, ale – co oczywiste – ich liczba dość szybko maleje. Zrzeszeni są głównie osiemdziesięcio-, dziewięćdziesięcio- i stułatkowie, choć wielu działaczy jest już nieaktywnych.

Stefan Lipniak, prezentując mi ręcznie spisaną listę członków i członków Związku, zastrzegając, jak ważna jest sporządzona przez niego legenda oznaczeń: osoby, których nazwiska podkreślone są zieloną kredką, to czynni związkowcy, fioletową – żywi, ale nieuczęszczający na zebrania, niebieską – schorowani i leżący, czerwonym kolorem oznaczono zmarłych.

Gdy pierwszy raz udałam się na cotygodniowe spotkanie, klubowicze przypuszczali, że jestem wnuczką Stefana Lipniaka. Potraktowano mnie ulgowo, z marszu zostałam zaangażowana do pomocy – mieliśmy złożyć i schować do szklanej gabloty związkowy sztandar. W ten sposób przekroczyliśmy pierwszy poziom obcości. W kolejnych tygodniach i miesiącach jeździliśmy razem na pogrzeby i pikniki, celebrowaliśmy wojenne rocznice, dyskutowaliśmy o ich problemach. Wkrótce zaczęłam funkcjonować w tym środowisku na prawach wspólnej wnuczki. Nigdy wcześniej nie przyszło mi pracować z tak ostrożnymi i skrytymi ludźmi, którzy – jakby na przekór panującym w ich wspólnocie tendencjom – okazywali mi wiele zaufania i życzliwości. Bez ich pomocy nie udałooby się zrekonstruować sieci poobozowych zależności, do-

trzeć do odpowiednich osób i zbudować osobistych relacji z moimi rozmówcami.

Z każdego kolejnego spotkania wracałam wyposażona w nowe nazwiska, adresy i numery. Kraków rozrastał się i nabierał nowych wymiarów. Dane lokalizacje zaczęły znaczyć – postrzegałam je teraz przez pryzmat konkretnych wydarzeń z cudzych biografii. Ożywiły się także kontakty między związkowcami, opowiadano sobie o mnie, wymieniano się moimi danymi. Sieć znajomości rozszerzała się błyskawicznie. W pewnym momencie nie ja szukałam kolejnych osób, ale to one zgłaszały się do mnie. Dzwoniły o różnych porach dnia i nocy. Przeświadczona, że jeszcze nie znam ich nazwisk, przedstawiały się następująco: „Dobry wieczór, Auschwitz mówi”, „Dzień dobry, Płaszów z tej strony...”, „Halo, jestem z Buchenwaldu, mój numer to...” – i nie chodziło, rzecz jasna, o numer telefonu.

Szybko zdałam sobie sprawę, że moi rozmówcy oczekują ode mnie konkretnej reakcji i działania – nie chodzi tylko o współlbycie, empatię czy uwagę, ale o przejęcie narracyjnej inicjatywy, o świadczenie o świadczących. Kiedy wreszcie zdecydowałam się zaproponować im wspólną pracę nad książką, w odpowiedzi jednogłośnie zaoferowali mi honorową legitymację i członkostwo w Polskim Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych.

Potrzeba i gotowość współtworzenia książki wynikała – jak sądzę – nie z próżności moich bohaterów, ale z przeczucia kresu ich życia oraz świadomości, jak unikatowy jest ten ostatni moment świadczenia. Ostatni, ale niejednokrotnie także pierwszy, bo jak się okazało, niektórzy z poznanych przeze mnie byłych więźniów nie mieli okazji opowiedzieć o swoich doświadczeniach obozowych nikomu spoza kręgu najbliższych. Co za tym idzie – ich opowieści nie zostały dotąd w żaden sposób zarchiwizowane. Tymczasem dla wielu z tych ludzi wojna trwa nadal – w ich ciałach i umysłach – ujawnia się we wspomnieniach, snach, gestach, w pamięci ciała, poprzez choroby, nawyki, zachowania czy sposoby konfrontowania z innymi.

Jak się przekonałam, relacje w środowisku najczęściej sprowadzają się do wspólnego podtrzymywania ram instytucjonalnych, asekuracji finansowo-prawnej oraz praktyk symbolicznych, na przykład, gdy celebrowane są rocznice wydarzeń historycznych ważnych dla

Wprowadzenie

tej grupy. Istotnym, konsolidującym aspektem jest także wsparcie medyczne i psychologiczne oferowane przez przychodnię Pro vita et spe, prowadzoną przez doktor Alicję Klich-Rączkę i mieszczącą się na parterze kamienicy przy Dietla 64, gdzie Związek ma swoją siedzibę.

Byli więźniowie, których określam mianem przeżywców, pozostają jednak osobni. Są razem, gdyż obowiązuje ich solidarność pamiętania, ale dzieli ich niemal wszystko. Animoszje albo pozostają niezwerbalizowane, albo tracą na sile, gdy w grę wchodzi obrona honoru wspólnoty. Trudno dziś mówić o przyjaźniach czy zażyłościach. Przeżywcy są na to chyba za bardzo nieufni, wsobni, wciąż poranieni. Większość cierpi na chroniczną samotność. Podczas zebrań związkowych o przeżyciach wojennych praktycznie się nie mówi. Nie teraz i nie w tym gronie, gdzie przecież „wszyscy wiemy, jak było”. Próby opowiadania o indywidualnych losach wojennych traktowane są jak nietakt, egoistyczne epatowanie własnym koszmarem. Tymczasem prawie każdy zmagą się na co dzień z własną przeszłością.

Wspólna uwaga skupia się natomiast na faktycznych, bieżących wyzwaniach i problemach, jak wciąż zmieniający się status prawny byłych więźniów obozów koncentracyjnych, topniejące ulgi, odbierane zapomogi i przywileje społeczne, niesatysfakcjonujące świadczenia czy problemy finansowe. Rzeczywiście, można mówić o pewnej ignorancji władz i organów państwowych w odniesieniu do tych, którzy przeżyli. Mowa jest często o „sprawie Suchockiej”, czyli o pamiętnym zmniejszeniu rent przez rząd Hanny Suchockiej. Wyraźnie akcentowane bywa też poczucie odtrącenia przez kolejne pokolenia, podwójna stygmatyzacja – starością i kombatanctwem – oraz przeświadczenie przeżywców o społecznym niewykorzystaniu w sferze polskiej polityki pamięci.

Większość moich rozmówców nie tyle lubi, ile czuje etyczną powinność mówienia o doświadczeniach obozowych, zwłaszcza młodym ludziom. Z jednej strony mają oni świadomość, że jako ostatni świadkowie są predestynowani do opowiadania, z drugiej twierdzą, że jest na to za późno. Wprost deklarują, że ich pamięć jest zniszczona, dziurawa i zależna od cudzych relacji, literatury oraz filmów, a narracje są wybrakowane lub zniekształcone. Faktycznie, wielokrotnie widziałam ogromny trud, z jakim przeżywcy odpominają

przedwojenne i wojenne zaszłości, konfrontują swoje aktualne wspomnienia z przygotowanymi wcześniej zapiskami autobiograficznymi, próbują dopytać o minione wydarzenia bliskich ludzi lub powołują się na znane motywy z tekstów kultury. Jednak już na początku naszej współpracy zdałam sobie sprawę, że taki tryb opowiadania wcale nie dyskredytuje ich opowieści. Można słusznie argumentować, że każda ludzka pamięć ma charakter relacyjny i protetyczny, podobnie jak każda, nawet pierwsza, tużpowojenna narracja siłą rzeczy nie jest obiektywną reprezentacją obozowej rzeczywistości, ale reprezentacją tego, jak dana osoba odczuwała, postrzegała i oceniała tamte realia. Chodzi jednak o coś jeszcze.

Wraz z rozmówcami nie orzekamy tak naprawdę ani o II wojnie światowej, ani o nazistowskich obozach koncentracyjnych. Gdy przeinaczają oni pewne zajścia lub wahają się co do dat wydarzeń historycznych, nie poprawiam ich, nie odnotowuję tego faktu w przypisach. Moim i chyba także naszym zamysłem nigdy nie było przygotowanie książki historycznej. Bliżej nam z pewnością do literatury świadectwa, która rządzi się swoją logiką. Co więcej, wychodzę z założenia, że zebrane w tej książce opowieści mają mówić nie o tym, jak było, ale o tym, jak jest – kim są i w jakim miejscu znajdują się dzisiaj ci, którzy kilkadziesiąt lat temu przeżyli obozy, jak zmieniły się ich oceny i odczucia, co pamiętają i w jakim tonie chcą o tym opowiadać.

Interesowały mnie także powojenne losy przeżywców, co zrobili z odzyskaną wolnością, jak się wówczas czuli, w jaki sposób docierali do domów lub konstatowali, że nie mają dokąd wracać, jak układali się ze wspomnieniami i konfrontowali z bliskimi, słowem – jak przystosowywali się do dalszego życia. Dlatego punktem wyjścia było na ogół pytanie o chwilę wyzwolenia lub ucieczki z obozu, którą traktowaliśmy jako moment zerowy narracji. Większość osób jednak po wstępnym zarysowaniu obecnej sytuacji albo błyskawicznie przeskakiwała do czasów wojennych, albo wprost deklarowała, że czuje się niekomfortowo, mówiąc o współczesności, zanim wprowadzi mnie w to, co dla nich najważniejsze, czyli w świat obozowy. W takich momentach odślaniał się tożsamościotwórczy aspekt doświadczenia obozu.

Rejestrując tę zróżnicowaną konstelację postaw i strategii przetrwania, miałam chwilowe poczucie swoistej nieśmiertelności mo-

Wprowadzenie

ich bohaterów, którzy w opowieściach raz za razem wychodzą z kolejnych opresji. Szybko jednak uświadomiłam sobie ich dzisiejszą kruchość. Odkąd tylko zaczęłam uczęszczać na zebrania Związku, nie było miesiąca, by ktoś nie umarł. Najgłośniejszym echem odbiła się w tym czasie śmierć Józefa Paczyńskiego, wieloletniego prezesa Klubu Auschwitz, niegdyś obozowego fryzjera komendanta Rudolfa Hößa. Przez kolejne miesiące związkowcy pytali mnie, czy zdążyłam nagrać opowieść Paczyńskiego, a ja nie mogłam przeboleć, że po naszym wstępnym umawianiu się spóźniłam się na to spotkanie dosłownie kilka dni.

Pogrzeb Paczyńskiego był okazją do obserwowania specyficznej solidarności przeżywców. Gdy czekaliśmy przed cmentarną kaplicą na rozpoczęcie ceremonii, moi towarzysze zaczęli nerwowo gmerać w kieszeniach, z których następnie każdy wyciągnął opakowane w folię zawiniątko. Okazało się, że to biało-niebieskie repliki opasek obozowych z nadrukiem czerwonego winkła. Ponieważ rodzina zmarłego nie wyraziła zgody na akcentowanie jego wojennej przeszłości, związkowcy początkowo krępowali się wkładać opaski, po chwili jednak – wzmacnieni wspólnym oburzeniem – honorowo nałożyli je na ramiona. Opaski miały zbyt duży obwód, więc prosili mnie, bym każdemu z osobna naprędce przyszyła je do płaszcza lub przypięła agrafką.

Poczucie dziwności czy dwuznaczności podobnych sytuacji, gdy na różne, mniej lub bardziej subtelne sposoby odgrywałam rolę ofiar i oprawców, towarzyszyło mi nieodmiennie. Niektórzy z rozmówców proponowali na przykład, bym fotografowała ich z numerami obozowymi wypisanymi na kartonikach, udawali, że tatuują moje przedramię, wcielali się w rolę muzułmana, kiedy indziej retorycznie sugerowali, że jestem ich znajomą współwięźniarką. Wyraziście pamiętam zwłaszcza zaproszenie do udziału w kolejnych obchodach wyzwolenia KL Auschwitz, gdy jeden z klubowiczów, wyraźnie podekscytowany, zadzwonił do mnie o świcie z pytaniem: „Jedziesz z nami?”. Spytałam mało przytomnie, dokąd miałabym jechać. „Do Auschwitz, jedź z nami koniecznie, już powiedziałem kolegom, że bez ciebie nie jedziemy”. A następnie: „Mamy transport, ale już może nie być wolnych miejsc. Musisz się szybko zgłosić, bo dwaj tacy, co są wpisani na listę, chyba nie dożyją do tego czasu, są zbyt słabi. Zgłoś się na listę rezerwową, bo

kolejnych transportów może nie być”. Gdy zdałam sobie sprawę, że wbrew pozorom mowa o całkiem współczesnej perspektywie wyjazdu, i obiecałam, że postaram się „załapać na ten transport”, padła radosna odpowiedź: „Zatem jedziemy do Auschwitz, jest pięknie!”.

W podobnych wypadkach nie zawsze możliwe było stwierdzenie, co jest wyrazem figlarności czy żartem, a co slangiem i specyficznym, poobozowym stylem bycia. Przekonałam się jednak wielokrotnie, że prowokowanie przez klubowiczów tego typu niejednoznaczności nie jest działaniem na pokaz. Nie byłam ani jedyną, ani główną odbiorczynią tych zachowań. Na przykład w drobnych sprzeczkach między kolegami z klubu padały analogiczne argumenty: „Zachowujesz się tak, że ja nie wiem, jak ty przetrwałś ten obóz”, „Jesteś stary, ale ogarnij się, nawet byś miesiąca tam nie przeżył”, „A ty byś po tygodniu wykitował, bardzo mi przykro”. Oczywiście, są to sporadyczne, momentalne przypadki uniesienia emocjonalnego, ale często również na co dzień byli więźniowie używają obozowego żargonu, analizują bieżące sytuacje w kontekście wydarzeń z przeszłości, oceniają innych nie tylko pod kątem rang i zasług z okresu II wojny, lecz także przez pryzmat wartości wewnątrzobozowych. Ciągłe oscylowanie między współczesnością a rzeczywistością wojenną jest na porządku dziennym.

Podobnie jak nieciągła jest granica między przeszłym i obecnym, tak porwane są narracje moich rozmówców. W toku ich opowieści dochodzi do częstych zerwań i zawieszzeń zarówno na płaszczyźnie chronologicznej, jak i przestrzennej. Staralam się w takich momentach nie ingerować w bieg wspomnień, najczęściej ograniczałam się do pytań mogących pomóc odbiorcy (mnie jako słuchaczce, ale i czytelnikowi tej książki) w zlokalizowaniu aktualnej pozycji. Nie usiłowałam również wtórnie spajać czy ujednolicać tych poszarpanych wątków.

Klub Auschwitz to nazwa stosowana przez przedstawicieli Związku. Gdy w Krakowie czynnych było wielu byłych więźniów różnych obozów, istniało także wiele klubów: Klub Ravensbrück, Klub Buchenwaldu, Klub Gross-Rosen i tak dalej. Ich reprezentanci spotykali się regularnie, organizowali wspólne wyjazdy i uroczystości, uzgadniali swoje wersje przeszłości, starali się dbać o sprawę grupy na arenie polskiej i międzynarodowej. Klub Auschwitz

Wprowadzenie

funkcjonował długo na specjalnych prawach, co uzależnione było w znacznej mierze od kulturowego i politycznego uznania tego obozu za epicentrum przemocy nazistowskiej. Więźniowie Auschwitz z reguły mogli korzystać z dodatkowego wsparcia finansowego otrzymywanego po wojnie od Niemców. Według niektórych była to jawna niesprawiedliwość, według innych Klub Auschwitz mógł dzięki tym funduszom dofinansowywać działania krakowskiego oddziału Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych. Dzisiaj – jak zgodnie przyznają moi rozmówcy – ten klub walczy o trwanie resztkami sił.

Jeszcze jedno wyjaśnienie wydaje się istotne. Nazywam byłych więźniów mianem „przeżywców”, bo już na początku naszych interakcji zauważyłam, że zupełnie nie utożsamiają się oni z określeniami „ocalony” czy „ocalały”. Mimo szeroko komentowanych i opisanych różnic między tymi wariantami „ocalenie” zanedo kojarzy się z pasywnością. Moi rozmówcy nie mówią nigdy, że „ocaleli” z obozu, lecz że „przeżyli”. Pewnym rozwiązaniem mogłoby być z pewnością zastosowanie terminu proponowanego przez Zygmunta Baumana – „przeżytnik”. Z kilku względów jednak to pojęcie nie wydaje się trafne. Nie dość, że w polszczyźnie „przeżytnik” zbyt mocno kojarzy się z „przemysłownikiem”, to jeszcze pobrzmiewa w tym słowie pewne domknięcie aktu, ukończenie procesu. „Przeżywca” natomiast silniej oddaje ciągłe, procesualne – minione i obecne – wydarzanie się życia, o którym z całą mocą zaświadcza bohaterowie tej książki.